

Bartosz Jastrzębski: Wolność a prawda w encyklice „Veritatis splendor” św. Jana Pawła II

Wolność jest warunkiem możliwości zbawienia, ale pamiętać też trzeba, że nie jest zbawieniem samym. Albowiem otwiera ona nie tylko bramy niebios, lecz także piekielne dziedziny. Umożliwia jednak drogę ku górze, ku boskiemu, niezmiennemu światu – pisał prof. Bartosz Jastrzębski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Młody papież”. Jego tekst przypominamy z okazji 30. rocznicy ogłoszenia encykliki „Veritatis Splendor”.

Wolność jest dziś słowem, które na ustach – a przez to i w uszach – mają niemal wszyscy. Zdaje się ona obecnie najwyższą wartością, a zarazem pierwotnym źródłem wartości jakichkolwiek innych. Twierdzi się przeto, iż wszelki ruch kultur i społeczeństw – o ile nie był ruchem pozornym, jakąś maskowaną stagnacją – wszelki ich postęp i powód do chwały zależał i nadal zależy od stopnia oraz zakresu urzeczywistnienia wolności. I tak, od epok zniewolenia, tyranii i niesprawiedliwości kroczymy – jak przekonują nas różnoracy piewcy *libertas* – do ostatecznego królestwa wolności, w którym nieskrępowana swoboda stanie się przywilejem nie tylko nawet najmniejszych i najdziwaczniejszych grup społecznych, ale wprost, numerycznie, wszystkich jednostek. Stanie się to wtedy – nie wcześniej i nie później – gdy odrzucone zostaną wszelkie ograniczenia, które fundowane były dotąd ludziom za sprawą tradycyjnych kultur wraz z ich religiami, normami moralnymi, kanonami wykształcenia, obyczajami, więziami społecznymi, regułami stosowności i wymogami

estetycznymi. Wolność pojmuje się dziś bowiem – mniej więcej od rewolucji francuskiej tak się dzieje – jako absolutne nieskrępowanie, swoistą samowolę, anarchię niemal, która nie może tolerować koło siebie żadnych filozoficznych, kulturowych czy społecznych „struktur opresji”. A ponieważ zarówno społeczeństwo, jak i kultura zawsze ustanawiają pewne ograniczenia i restrykcje (na tym wszak ostatecznie polegają i taka jest ich funkcja, by kieżnać i uszlachetniać ludzką naturę), toteż jedno i drugie musi zostać stopniowo rozmontowane i finalnie zniesione. Wtedy dopiero dzieje dobiegną końca i zapanuje ostateczne Ziemskie Królestwo Wolności. Raj na Ziemi.

Ktoś powie: jest to obraz dalece przejawiony! Rozsądne żądania grup i jednostek w taki czy inny sposób dotąd dyskryminowanych nie powinny być sprowadzane *ad absurdum*. To naturalne i właściwe, iż ludzie pragną wolności – jest to zdrowy odruch, świadczący o przyrodzonej odrazie do despotyzmu i tyranii. Ludzie mają wszak prawo do autentyczności, spontaniczności, nieskrępowanej ekspresji, którego to prawa przez wieki im karygodnie wzbraniano! Stwórzmy więc warunki do tego. Słusznie się żąda, by mogli je oni w końcu realizować. Tylko tyle i aż tyle. A jeśli przy okazji osłabić czy rozmontować trzeba będzie historycznie ukształtowane formy religii, kultury i społeczeństwa? No cóż, innego wyjścia nie ma. Taka jest cena postępu, taka natura rozwoju. Duch czasu wymaga – *causa finita*.

Niepodobna oczywiście w krótkim szkicu nakreślić choćby w zarysie głównych linii współczesnych debat i sporów, dotyczących rozumienia natury i zakresu wolności. Rzucają się jednak w oczy przynajmniej dwie istotne kwestie. Po pierwsze, niemal cała dzisiejsza dyskusja wokół wolności zupełnie pomija jej związek z prawdą. A jeśli już ową relację dostrzega, to ujmuje ją w sposób właściwy czasom „postprawdy”: oto

*Wolność pojmuje się dziś –
mniej więcej od rewolucji
francuskiej tak się dzieje –
jako absolutne
nieskrępowanie, swoistą
samowolę, anarchię niemal,
która nie może tolerować koło
siebie żadnych filozoficznych,
kulturowych czy społecznych
„struktur opresji”*

ludzka wolność
dopiero prawdę
ustanawia. Czyli
„prawdziwe”, w
każdym razie
prawdziwe dla mnie,
jest to, co ja sam
wybiorę i uznaję za
takie na mocy mej
suwerennej decyzji.
Innymi słowy, w
teraźniejszym,
ponowoczesnym i
neoliberalnym
ujęciu, wolność

dopiero tworzy zarówno prawdę, jak i wartości – nie istnieją one same w sobie, poprzedzając niezdeteminowany wybór podmiotu moralnego i wyznaczając mu określone pole, w którym ma się on dokonywać. Po drugie zaś, łatwo dostrzec możemy, iż istnieje we współczesnych dyskursach etycznych głęboka asymetria pomiędzy wolnością traktowaną jako niezbywalne, „naturalne” uprawnienie każdej jednostki do nieskrępowanej autoekspresji, a zupełnym brakiem uzupełnienia owego uprawnienia imperatywem konkretnych zobowiązań oraz moralnej i społecznej odpowiedzialności. Temat odpowiedzialności jakby w ogóle nie istnieje – chyba, że w opracowaniach profesjonalnych filozofów. Być może dlatego, że konsekwencje naszych czynów rozkładają się w czasie – i to nieraz nawet dość długim – przez co nie są bezpośrednio i natychmiastowo widoczne. A skoro tak, to nastawiona na „tu i teraz” współczesność ich istnienie wypiera bądź zbywa lekceważeniem: niech inni się martwią, „po nas choćby potop”. Spłatę naszych błędów pozostawiamy na

nieokreślone „później” – a najlepiej w ogóle potomnym. Przyjrzymy się zatem tym dwóm kwestiom, za przewodnika biorąc słowa św. Jana Pawła II z encykliki *Veritatis splendor*.

Papież-Polak wielokroć poruszał problem wolności. Śmiało można powiedzieć, iż stanowił on jeden z głównych, wciąż powracających motywów jego twórczości w zakresie antropologii i teologii moralnej. Dogłębnie omawiał to zagadnienie – przyglądając mu się z różnych perspektyw – zarówno w encyklice *Centesimus annus* (1991), jak i *Veritatis splendor* (1993), a także *Evangelium vitae* (1995). Wspominam tu jedynie o dokumentach papieskich z początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia z tego powodu, iż był to okres prawdziwej erupcji wolności – upadku Żelaznej Kurtyny, Muru Berlińskiego i całego bloku komunistycznego. Wolnościowy entuzjazm porywał niemal wszystkich, pozwalając – nie tylko zwykłym ludziom, ale i uczonym – wierzyć w rychłe nastanie szczęśliwej, pełnej pokoju, swobody i przyjemności epoki w dziejach ludzkości. Mało kto wówczas dostrzegał i wskazywał niebezpieczeństwa i nadużycia, jakie wolności mogą towarzyszyć. Jedną z takich postaci był właśnie polski Papież.

I tak, zdaniem św. Jana Pawła II kwestią o znaczeniu absolutnie fundamentalnym, z konieczności będącą podstawą wszelkiej poważnej refleksji nad wolnością był – wspomniany już – charakter jej związku z prawdą.

„W niektórych nurtach myśli współczesnej – powiada on – *do tego stopnia podkreśla się znaczenie wolności, że czyni się z niej absolut, który ma być źródłem wartości.* W tym kierunku idą doktryny, które

zatracają zmysł transcendencji lub które otwarcie deklarują się jako ateistyczne” [1].

W efekcie „powstała tendencja, by przyznać sumieniu jednostki wyłączny przywilej autonomicznego określania kryteriów dobra i zła oraz zgodnego z tym działania. Wizja ta łączy się z etyką indywidualistyczną, według której każdy człowiek staje wobec własnej prawdy, różnej od prawdy innych. Posunięty do skrajnych konsekwencji indywidualizm prowadzi do zaprzeczenia samej idei natury ludzkiej” [2].

*Niemal cała dzisiejsza
dyskusja wokół wolności
zupełnie pomija jej związek z
prawdą. A jeśli już ową relację
dostrzega, to ujmuje ją w
sposób właściwy czasom
„postprawdy”: oto ludzka
wolność dopiero prawdę
ustanawia*

Oto więc zdaniem
Ojca świętego
prawda
niepodważalna:
wolność nie
ustanawia wartości –
choć taką moc
usiłuje się dzisiaj jej
przypisywać.
Wolność nie jest
twórczością – mimo
iż w dziedzinie
sztuki jest jednym z

jej warunków. W sferze wartości rzecz ma się jednak inaczej – trochę podobnie jak w sferze języka. Gdy pojawiajemy się na świecie, zastajemy już oraz przyswajamy sobie obiektywnie istniejący język (co nie wyklucza faktu, iż możemy z niego uczynić nader zindywidualizowany użytek), nad którego naturą i strukturą nie mamy żadnej władzy. I tak też wkraczamy w świat wartości: one już są, już na nas „czekają” – nie

ma jeszcze tylko naszych decyzji, naszych własnych ścieżek i zbłądzeń pośród nich. Ci, którzy sądzą, że wartości mogą być przez nich samych urobione, powołać mogą do krótkiego i złego życia jedynie karykatury i nędzne z nich szyderstwa, które z konieczności okazują się a-moralne, czyli w najlepszym razie bezużyteczne, jeśli nie wprost szkodliwe. Roberto de Mattei powiada w tym kontekście:

Jeżeli istnieje prawda, którą należy poznać, i dobro, które należy praktykować, wybór człowieka jest głęboko znaczący. W przeciwnym razie, gdyby jedyne kryterium wyboru stanowiła wola jednostki czy, innymi słowy, każdy dokonywany przez nas wybór był uprawniony, ponieważ my tak chcemy (a więc gdyby wszystkie wybory były sobie równe, a dobro i zło okazywały się pojęciami względnymi), takie decyzje stałyby się «amoralne» i w konsekwencji nieludzkie. Prawdziwa ludzka wolność ma przecież, swoją obiektywną definicję i reguły korzystania z niej. Jest zespołem wewnętrznych decyzji i wyborów, zdeterminowanych nie czynnikami doraźnymi czy okazjonalnymi, ale przede wszystkim naturalnymi, to jest ponadczasowymi i racjonalnymi. Wolność jest więc zdolnością istoty rozumnej do właściwego kierowania swoim życiem, aż do jego kresu[3].

Jak jednak należy rozumieć owo „właściwe kierowanie” czy też – jak powiadają niekiedy etycy – autodeterminację? Otóż jest to posłuszeństwo Boskiemu prawu. Skoro uznajemy, iż wartości odwieczne i niezmiennie istnieją, uznajemy również ich Twórcę, który pozwolił nam je poznać z jednej strony przez Objawienie, z drugiej zaś przez rzetelną i nieustępliwą pracę rozumu. Owe Boskie prawo odwołuje się właśnie do swoistego wewnętrznego hamulca wpisanego

*Oto zdaniem Ojca świętego
prawda niepodważalna:
wolność nie
ustanawia wartości – choć
taką moc usiłuje się dzisiaj jej
przypisywać.*

w ludzką naturę,
dzięki któremu
podlegający
różnorodnym
determinacjom
zewnętrznym
(społecznym) i
wewnętrznym
(instynktownym)
podmiot moralny

jest w stanie zachować moc przeciwstawienia się im (przypomina się tu Sokratesowy dajmonion, który zawsze właśnie odradzał Ateńczykowi wraże działania). Jeśli bowiem nie jest władny stawić im oporu – przestaje panować nad swymi czynami, przestaje być ich sprawcą, władzę przejmują czynniki pozapodmiotowe, nieświadome, behawioralne, społeczne. Innymi słowy, przestaje być wolny, staje się „popychadłem” bezosobowych sił. W tym kontekście należy rozumieć – zrazu zdającą się paradoksalną – formułę, iż wolność (chrześcijańska) polega na posłuszeństwie prawu moralnemu. Prawo to bowiem jest głębiej wpisane w naturę ludzką niż jakiegokolwiek biologiczne czy behawioralne determinanty. Powiada przeto św. Jan Paweł II:

*Prawdziwa autonomia moralna człowieka nie oznacza
bynajmniej odrzucenia, ale właśnie przyjęcie prawa moralnego,
Bożego przykazania: ‘Pan Bóg dał człowiekowi taki rozkaz’ (Rdz
2,16). Wolność człowieka i prawo Boże spotykają się i są
powołane, aby się wzajemnie przenikać, czego wyrazem jest
dobrowolne posłuszeństwo człowieka wobec Boga oraz
bezinteresowna dobroć Boga wobec człowieka. I dlatego
posłuszeństwo Bogu nie ma [...] charakteru heteronomicznego,*

tak jakby życie moralne było podporządkowane woli absolutnej wszechmocy, zewnętrznej wobec człowieka i przeciwnej jego wolności[4].

Jestem wolny – oznacza to również, iż każdorazowo muszę być gotów przyjąć na siebie skutki swych działań

A zatem prawo Boże jest „nasze”, nie jest czymś heteronomicznym – obcym i narzuconym – jakimś zewnętrznym

przymusem. Nie jest również płynącą z głębin przemożną presją podświadomą – unicestwiałyby to wolność. I nie tylko wolność, ale także – i to druga istotna kwestia – nieodłączną od niej odpowiedzialność. Albowiem, jak czytamy w *Katechizmie*, „Wolność czyni człowieka *odpowiedzialnym* za swoje czyny, w takiej mierze, w jakiej są one dobrowolne. Postęp w cnocie, poznanie dobra i asceza, zwiększają panowanie woli nad czynami” (KKK 1734). Jestem wolny – oznacza to również, iż każdorazowo muszę być gotów przyjąć na siebie skutki swych działań. Nie mogę się od nich uchylać czy ich negować. Byłoby to zaprzeczeniem męstwa, czy w ogóle duchowej dojrzałości. Oczywiście nie jesteśmy w stanie – nawet przy najlepszej wierze i najpotężniejszym rozumie – przewidzieć wszystkich konsekwencji swoich czynów. Trudno więc orzec gdzie – na którym rzędzie konsekwencji – miałyby się owa odpowiedzialność kończyć. Dlatego o wartości moralnej czynu stanowi także jego intencja oraz materia. Świadomość owego potencjalnie nieskończonego łańcucha konsekwencji naszych czynów nie powinna jednak osłabiać naszego poczucia odpowiedzialności za nie. Przeciwnie – dopiero pojmując

wyraźnie, iż każdy nasz wolny wybór uruchamia nieogarnialne pasmo skutków, winniśmy pilniej baczyć jak i ku czemu wolności naszej używamy.

Co więcej, w owym odpowiedzialnym posłuszeństwie Bożemu prawu uzyskujemy dopiero swoją prawdziwą tożsamość, tę bodaj, o której czytamy w Apokalipsie (2,17):

*Zwycięzcy dam manny ukrytej
i dam mu biały kamyk,
a na kamyku wypisane imię nowe,
którego nikt nie zna oprócz tego, kto [je] otrzymuje.*

Tożsamość ową straciliśmy bowiem na skutek aktu nieposłuszeństwa, odwrócenia się od Transcendencji, by spoglądać na własny tylko cień, płocze widmo osobności - także i jedynie przez *metanoię* ku posłuszeństwu możemy ją odzyskać. Owo posłuszeństwo przynosi również niewypowiedzianą ulgę we współczesnym świecie dezorientacji, konfuzji i chaosu. W końcu wiadomo co należy czynić! Nawet jeśli jest trudno – a zazwyczaj jest znojn timer – nawet jeśli upadamy i nie jesteśmy w stanie urzeczywistniać ewangelicznego ideału dobroci i przebaczenia, ba! jeśli się nieraz w swej chwiejności wprost przeciw Chrystusowemu prawu buntujemy, to ów ideał oświeca nas i ustawia we właściwej perspektywie wszystkie ziemskie sprawy. Nie jest przy tym rzeczą wstydl timer odczuwanie owej ulgi, bo też nie jest ona skutkiem porzucania czy omijania moralnych wymagań, ale świadomości ich wiarygodności, sensown timer i celowości. I już sama wiedza o istnieniu panteonu realnych, obiektywnych wartości powoduje jakościową zmianę w ludzkiej egzystencji. O jaką zmianę

chodzi? George Santayana – głęboko rozczarowany współczesnością - z nostalgią wspomina czasy gdy: „życie było rzeczywiście kochane, a jego piękno i patos były intensywnie odczuwane; piękno i patos brały się zaś z ich boskiego wzorca i jego kruchości [...]. Szlachetność uczucia nie była więc niemożliwa, ponieważ w życiu istniały ideały wyższe i bardziej trwałe niż samo życie, które to ideały życie może zobrazować i za które można życie poświęcić” [5].

A nieco dalej dodaje:

Jakże więc mogą pojawić się wielcy bohaterowie, święci, artyści, filozofowie czy prawodawcy w epoce, w której nikt nie ufa sobie samemu, nie czuje żadnego zaufania w rozum, w epoce, w której samo słowo „dogmatyczny” funkcjonuje jak obelga? [...]. Wielkość ma charakter i surowość, jest głęboka i zdrowa, jest odróżnialna i doskonała. Właśnie dlatego nie ma jej w naszych czasach[6].

To właśnie wiara w istnienie obiektywnych wartości oraz zdolność do ich rzeczywistego wyboru umożliwia taką zmianę, dzięki której - być może - znów będą mogli pojawić się święci i prorocy, wielcy filozofowie i wiekopomni poeci. By się tak stało musimy jednak – powtórzmy to z całą mocą – uwierzyć w prawdziwą wolność i w realność Bożych idei, które oświecają każdego, kto na świat przychodzi (J 1,9). Wolność jest więc warunkiem możliwości zbawienia, ale pamiętać też trzeba, że nie jest zbawieniem samym. Albowiem otwiera ona nie tylko bramy niebios, lecz także piekielne dziedziny. Umożliwia jednak drogę ku górze, ku boskiemu, niezmiennemu światu. A przecież tylko wspinając się ku niemu można osiągać rzeczy wieczne, piękne, i dobre, o których z

nieskrywaną tęsknotą mówi Santayana. Jeśli zaś ku takiej wolności nie podążymy, nasz świat – nie tylko estetycznie, ale i etycznie – nieuchronnie coraz bardziej upodabniać się będzie do Mordoru. I to Mordoru tryumfującego, już bez Gandalfa, elfów i pasterzy drzew.

Prof. Bartosz Jastrzębski

[1] *Veritatis splendor*, 32.

[2] Tamże,

[3] R. de Mattei, *Dyktatura relatywizmu*, przeł. P. Toboła-Pertkiewicz, E. Turlińska, Warszawa 2009, s. 90.

[4] *Veritatis splendor*, 41.

[5] G. Santayana, *Winds of Doctrine: Studies in Contemporary Opinion*, London-New York 1940, s. 19. Cyt. za: G. Kucharczyk, *Russell Kirk (1918-1994). Myśl polityczna amerykańskiego konserwatysty*, Warszawa 2012, s. 50.

[6] Tamże.